DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I. Poznań 20 lipca, 1888 r. Nr. 21.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski“ w expedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w expedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko expedycya, lub redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

Św. p. Władysław Wierzbiński.

Polsko ty moja, gdy już nieprzytomni
Będziemy — wspomnij ty o nas, o! wspomnij,
Wszak myśmy z twego zrobili nazwiska
Pacierz, co płacze, i piorun, co błyska.
(Juliusz Słowacki).

Przy smętnych dźwiękach Chopinowskiego marsza, wśród poważnych hymnów kościelnych, wśród nieprzeliczonej rzeszy swego narodu, który tak gorąco umiłował... zstąpił do mogiły św. p. Władysław Wierzbiński, poseł i redaktor, dnia 15 bm. w niedzielę. Jak był ceniony, szanowany i kochany — najlepszym dowodem właśnie ten pogrzeb, a raczej pochód tryumfalny do cichej, grobowej przystani, te fale ludu, płynące za trumną niesionego na barkach obywateli męża wytrwałej służby narodowej — te wspaniałe wieńce i kwiaty wdzięcznej pamięci — wreszcie te cicho po twarzach spływające łzy serdecznego bólu i żalu nieutulonego po wiernym i dobrze zasłużonym synu ojczyzny.

Zasługi św. p. Władysława, jako dziennikarza i publicysty, określił długoletni jego kolega i serdeczny przyjaciel, redaktor „Dziennika pozn.“, p. Dobrowolski, zaznaczywszy przede wszystkiem, jak — pracując przez lat 17, św. p. Wierzbiński „nie sprzeniewierzył się nigdy ciężkim obowiązkom dziennikarskim, pozostał do ostatka publicystą bez skazy, pojednawczy, względny dla wszystkich — twardy jedynie dla tych, co godność narodową krzywdzili, wstyd przynosząc ojczyźnie.“ P. dr. Z. Szułdrzyński, prezes „Centralnego Tow. rolniczego“ i szkolny Zmarłego kolega, występując w imieniu obywatelstwa, wykazał w dłuższem przemówieniu prace i zasługi św. p. Wł. Wierzbińskiego, w szczególności, jako posła, jako mówcy na trybunie sejmowej w obronie praw narodowych, wreszcie jako przewodniczącego w „Centralnym komitecie wyborczym.“ Poseł, p. Magdziński, pożegnał Zmarłego w imieniu „Koła sejmowego,“ w którym tenże pozostawił próżnię, jakiej, niestety! nie ma kto zapełnić!... Wreszcie członek „Komitetu prowincyalnego“, hr. Stefan Żółtowski, składając wieniec u stóp trumny, wypowiedział kilka słów serdecznego pożegnania sumiennemu i gorliwemu koledze wspólnej pracy.

Pięknych tych przemówień świetnem dopełnieniem była mowa ks. dr. Stablewskiego, mowa wspaniała w całem znaczeniu tego wyrazu treścią podniosłą i gorąco-patryotyczną, prawdziwe przytem arcydzieło stylu i języka, olśniewające przepychem porównań i przenośni. Brak nam miejsca na streszczenie całości, lub choćby tylko przytoczenie niektórych porywających ustępów tej mowy, odsełamy przeto Sz. Czytelników naszych do „Dziennika“ i „Kuryera pozn.“, które ją podały dosłownie.

Po tych wszystkich przemówieniach, w których kryształowy charakter Zmarłego, jego rozum, zdolności, cnoty, zasługi i prace rozpamiętywano, przypominano, podnoszono, my zaprawdę nic już nowego o Nim powiedzieć nie umiemy! — Pragniemy więc tylko na tem miejscu złożyć należną cześć cieniom męża, dojrzałego pracą i trudem, w którego sercu kipiała do końca czysta, wrząca miłość dla Polski, a który tę miłość pojmował, jako narodową służbę — twardą — bez wytchnienia — jako poświęcenie się zupełne!... pomny na słowa wieszcza:

Biada, kto daje ojczyźnie pół duszy,
A drugie tu pół dla szczęścia zachowa,
Oboje w nim Bóg swym piorunem skruszy
I padnie kiedyś w popiół taka głowa!

Pragniemy z tego miejsca oddać hołd obywatelowi niezłomnych zasad i prawości nieskazitelnej, wiernemu synowi nieszczęśliwej ojczyzny, który przecież ani na chwilę wierzyć nie przestał w jej lepszą dolę, w jej zmartwychwstanie, zarówno, jak w sprawiedliwość Boga, gdy przyjdzie sąd na narody! — Pragniemy na tem miejscu uchylić czoła przed dzielnym szermierzem naszych świętości: wiary i mowy ojczystej, których przez lat 20 nieustraszenie, z zachowaniem godności narodowej bronił z sejmowej trybuny! — Pragniemy tu wreszcie zapewnić tego, którego prawdziwą, wierną przyjaźnią szczyciliśmy się lat kilkanaście, że Mu wzajemnych uczuć dochowamy w gorącej, kornej modlitwie, w łzawej pamięci i w rzewnem wspomnieniu... do ostatniego tchnienia!

. . . .

Nienagrodzony bogactwy, ni dostojeństwy, ani zaszczytami, iście jako syn ojczyzny-niewolnicy, zstąpiłeś do mogiły, Władysławie!... Ale mogiła ta świeża, darnią zieloną osłoniona, strojna w kwiaty i wieńce wspaniałe, wiecznie tak świeżą pozostanie w serdecznej pamięci licznych Twych przyjaciół i całego narodu — i nie będziesz potrze-

bował — jak ona „czarodziejska stepowa królewna“ — skarżyć się:

A ktoż przypomni o mnie, kiedy zginę?!...
Różę na grobie posadzi odludną?...
O! jak tam w grobie niekochanym nudno
Spać na kamieniu!...

A Ty, coś już do lepszej poprzedził krainy nas, smętnych, tęskniących i łzami zalanych — zapytaj Króla tej krainy, kiedy pierzchnie zapadły nad nami zmrok ciężkiej pokuty i wiekowej niedoli, kiedy różowy brzask wolności zejdzie nad ojczyzną naszą?... Przypomnij Mu, że czekamy w cichej, milczącej, kornej cierpliwości, że „duchaśmy nie dali“... ale że nieraz omdlewamy od cierpień nadmiaru; więc czas, aby rozjaśnił się posępny widnokrąg i słońce lepszej doli rozproszyło chmury, co pogrzebnym całunem objęły nam serca i umysły.

WILLA ERLACH.

Powieść przez **Ossipa Schubina.**

Z języka niemieckiego tłomaczyła **A. P.**

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XX.

Zaledwie dniało, kiedy podróżne nasze stanęły na peronie *Gare du Nord* w Paryżu; wychodzące z rozpalonego wagonu ogarnia niemiłe, wilgotne powietrze; gęsta mgła otacza miasto, gdzieniegdzie tylko błyszczą gazowe latarnie, zaledwie rozpraszające ciemności.

Wraz z kilku innymi podróżnymi wsiadają do omnibusu, który, trzęsąc i dzwoniąc szybami, wiezie je przez ciche jeszcze miasto na ulicę Pasquier do hotelu Bedford. Jakaś Angielka, z którą baronowa dłuższy czas przebywała w Nizzy, poleciła jej ten hotel, pozostający pod szczególniejszą protekcyą konsulatu angielskiego, jako istny fenomen między hotelami; hotel pierwszorzędny z cenami hotelu drugiego rzędu. Pierwsze piętro zajmują od czasu do czasu przejezdne lordowskie rodziny, drugie i poddasza arystokratyczna zubożała szlachta. W bardzo skromnej czytelni leży na najwidoczniejszem miejscu obszerne album z fotografią jakiegoś pana i całej jego familii, wieńcem malowanych kwiatów otoczonej; niegdyś oni ten hotel swoją bytnością zaszczycili. Zresztą klientela składa się z dumnych, nieprzystępnych ludzi, unikających wszelkiego ze sobą spotkania; jest jednakże pewien punkt, na który godzą się wszyscy jednomyślnie, oto zbyt wygórowane rachunki hotelowe.

Baronową i Stellę niekoniecznie ten fenomenalny hotel zachwyca; wypocząwszy trochę, idą na miasto poszukać pod każdym względem dogodniejszego mieszkania.

Nie przychodzi im to z łatwością, bo budżet do minimum ograniczony: za 150 franków miesięcznie chcą nająć mieszkanie. Pierwszy dzień upływa na daremnych poszukiwaniach; tańsze umeblowane mieszkania składają się z ciemnych i ciasnych pokoików, przesiąkłych mieszaniną kamfory, paczuli i spleśniałych łupin orzechowych, który to zapach, podług określenia baronowej, pozostaje po dłuższej bytności Anglików; pokoje sypialne są raczej ogromnemi szafami, do których świeże powietrze jedynie drzwiami od salonu dochodzi, jeżeli się je na noc zostawi otwarte.

Życie w Bedford jest bardzo kosztowne, baronowa zatem dochodzi do przekonania, że, przeznaczając trzysta franków miesięcznie, zrobi zawsze jeszcze lepszy interes, niż płacąc dłużej łokciowe hotelowe rachunki.

Naturalnie, że wyszukanie stosownego mieszkania jest teraz rzeczą daleko łatwiejszą; za trzysta franków pokoje sypialne mają okna; cały apartament znacznie jest większy, chociaż są za to inne niedogodności, a mianowicie, że właścicielki nie chcą się podjąć żywienia, bo podobne „chambres garnies“ dotąd tylko bezżennym ludziom były odnajmowane.

Po długich poszukiwaniach udało im się nareszcie znaleźć mieszkanie na ulicy de Sèze, odpowiadające pod każdym względem ich skromnym wymaganiom. Miano już podpisać umowę, kiedy bacznie na wszystko zważającej baronowej fizyonomia właścicielki wydała się podejrzaną; przypomniała sobie nagle, że przed kilku laty, właśnie na ulicy de Sèze, popełniono straszne morderstwo i w tej samej chwili bez wszelkiego tłomaczenia zerwała ugodę.

Ładnie umeblowany apartament na ulicy l'Arcade szczególnie podoba się Stelli; matka podziela jej zdanie, chodzi tylko o różnicę pięciu franków dla dokończenia układów; baronowa, nie dowierzając jeszcze, wącha w powietrzu. Dziwna rzecz, jak też tu czuć paczulą, mówi podejrzliwie.

Właścicielka domu odpowiada bez wahania, że pomieszkanie to dłuższy czas zajmowali Meksykanie, mający niedystyngowane nawyknienie oblewania się rozmaitemi perfumami. Głównem ich zajęciem była kolekcya motyli, dodaje usłużnie, wskazując na wałek, napełniony szpilkami, stojący na mękkiej toalecie.

— Zdaje się, że ci Meksykanie mieli długie blond włosy, odzywa się z uśmiechem Stella, wyciągając długą złotą nitkę z szydełkowego pokrycia fotelu.

Baronową, wietrzącą wszędzie niemoralność francuzką, zniechęca zupełnie niewinna uwaga Stelli; nic mówiąc ani słowa, chwyta córkę za rękę i ku wielkiemu zdziwieniu właścicielki domu wybiega na ulicę, trzaskając za sobą drzwiami.

Na ulicy Pasquier oglądane przez nią pomieszkanie ma uderzająco nizką cenę, jest więc przekonana, że w obszernem łóżku z czerwonemi firankami umarł ktoś na cholerę, inaczej nie wynajętoby tak tanio.

Nareszcie po trzydniowej wędrówce znajdują odpowiednie umieszczenie na ulicy „de petits champs,“ w niewielkim hotelu „Aux trois nègres.“

Gosposia jest wesołą, młodą Irlandką i na zapytanie baronowej o przyzwoite pomieszkanie dla dwóch kobiet odpowiada uprzejmie.

— Mój dom jakby dla pań stworzony, są w nim najspokojniejsze pomieszkania w Paryżu, a co do tego hm.... to pewnym damom nie daję u siebie pomieszczenia, tak samo nie przyjmuję od razu dwóch deputowanych, bo się ciągle ze sobą sprzeczają...

Układ dość szybko przychodzi do skutku. Irlandka obiecuje panie stołować; więc tego samego dnia zajmują swe nowe pomieszkanie na drugiem piętrze hotelu „Aux trois nègres.“ Za obszerny salon i dwa sypialne pokoje z wielkiemi oknami, z których Stella nadzwyczaj jest zadowolona, płacą trzysta dwadzieścia pięć franków miesięcznie.

Ukończywszy kwestyą pomieszkania, baronowa stara się o odpowiedniego metra śpiewu dla Stelli. Idąc zwykle prosto do celu, nie krępując się niczem, udaje się do bióra wielkiej opery paryzkiej, chcąc zasięgnąć stosownych informacyi. Ale bióro wielkiej opery nie zajmuje się podobnemi interesami i baronowa, odprawiona miernemi bardzo wskazówkami, szuka szczęścia u sekretarza teatru operetkowego. Nie będąc przez nikogo polecona, z nieznanem swem nazwiskiem musi dosyć długo czekać, bo siedzący w biórze urzędnik zajęty jest właśnie żywą sprzeczką z dwiema damami, proszącemi po raz dziewiąty w tym miesiącu o bezpłatne bilety wejścia.

Baronowa, niezadowolona z tej zwłoki, stoi ze Stellą przy drzwiach kancelaryi, kiedy przeciwległemi drzwiami wchodzi młody jeszcze mężczyzna, szczupły, z wyrazistemi rysami, w futerku z krymskich baranków i przyjrzawszy się bacznie Stelli, pyta, podchodząc bliżej, o ich życzenia.

Baronowa prosi go o potrzebne wskazówki; następuje zobopólne przedstawienie i wymiana zwykłych grzeczności. Młody człowiek w futerku jest to sławny impressario Moriński, poszukujący właśnie nowej Patti dla paryzkiej sceny.

Przypatrując się z coraz większem zajęciem, zapytuje Stellę, u kogo brała lekcye.

— Któż jej nie uczył?... Lista jej profesorów jest aż nadto obszerna: Corelli w Neapolu, Lamperti w Medyolanie, Garcia w Londynie i Tosti w Rzymie.

— To źle, mówi Moriński, wstrząsając długiemi lokami. Za wiele kucharek zazwyczaj obiad psuje. Dla czegoś pani nigdzie dłużej się nie uczyła?

Baronowa, wyręczając w odpowiedzi Stellę, tłomaczy coś niezrozumiale o poszukiwaniu materyałów do historycznego swego dzieła, przez co i córka zmuszona była pędzić koczujące trochę życie, ale monsieur Moriński, którego ładne oczy przyszłej pupilki więcej zdają się interesować, niż studya baronowej, przerywa jej dosyć niegrzecznie:

— Czy pani masz zamiar występować na scenie? mówi, zwracając się do Stelli.

— Tak jest, odpowiada półgłosem.

— Pod tym tylko warunkiem pozwolę występować mojej córce, jeśli obejmie jakie pierwszorzędne role, odzywa się baronowa, rojąca zawsze wielkie plany na przyszłość.

— Niepodobna o tem teraz zadecydować, odpowiada Moriński z dziwnym jakimś uśmiechem. Są czasem świetne meteory na niebie, a jednak znikają szybko — a nieraz mała iskierka wznieca pożar, ogarniający całą miasta dzielnicę! To samo dzieje się i z nami, artystami.

Poetyczne to porównanie wypowiedziane jest twardym, francuzkim akcentem.

— Możebyś pani zechciała co zaśpiewać? zwraca się Moriński do Stelli, byłoby mi przyjemnie usłyszeć panią.

Serce Stelli bije gwałtownie. Jakże wiele czasu i protekcyi potrzebują inne śpiewaczki, nim dostaną posłuchanie u sławnego Morińskiego, a niemożliwem prawie jest nakłonić go do ocenienia i wypróbowania ich głosu. Jakimże więc sposobem ona zaledwie po dziesięć minut trwającej znajomości tak go zdołała zainteresować? Bez najmniejszego wahania przyjmuje tę propozycyą.

— Byłoby dobrze, gdybyś pani śpiewała na scenie, zamiast tu w foyer — mógłbym lepiej wibracyą głosu ocenić. Proszę iść za mną

Przez wązkie, ciemne korytarze prowadzi je na scenę o tej porze zaledwie kilku gazowemi lampami oświetloną, w głębi pusty, ciemny parkiet wygląda niby przepaść niezgłębiona. Na deskach sceny widnieją jakieś kredowe, kabalistyczne koła, mające dla nowicyuszek zupełnie niezrozumiałe znaczenie; przed budką suflera primadonna w rozpiętem futrze i z rozwiązanemi od kapelusza wstążkami śpiewa półgłosem tkliwy duet z klęczącym przed nią tenorem w cylindrze na głowie. Przy fortepianie siedzi kapelmistrz, mały, siwowłosy staruszek, z gęstemi, czarnemi brwiami i ciemnemi bystro spoglądającemi oczyma, ręce jego niedbale uderzają po klawiszach, nie godząc się z melodyą śpiewanej aryi.

Próba zaraz się skończy, zapewnia Moriński nowe znajome.

Po odśpiewaniu duetu primadonna sprzecza się z tenorem, zarzucając mu za mało ognia w najczulszych właśnie miejscach i z kapelmistrzem, że, nie zważając na jej śpiew, zupełnie inne wygrywał melodye.

Moriński przerywa sprzeczkę. Primadonna, ułagodzona kilkakrotnem pocałowaniem ręki odchodzi wreszcie, zmierzywszy Stellę od stóp do głów długiem, ironicznem spojrzeniem.

— To jakaś nowa gwiazda? panie Moriński, mówi, wzruszając ramionami i szeleszcząc jedwabnym trenem sukni.

— Nowa gwiazda? pyta również kapelmistrz ironicznie, zapychając nos potężną szczyptą tabaki.

— Być może, odpowiada młody impressario z wyrafinowaną grzecznością.

— Zapewne signorina ma coś zaśpiewać? Już prawie dwunasta, a mnie się jeść chce. Ale jeżeli koniecznie trzeba, to im prędzej, tem lepiej. Jaką aryą mam pani akompaniować?

„Ah fors'è lui che l'amina“ szepce zmieszana Stella. Aryą z....

— Już wiem, z „Trawiaty.“ Pani ją będzie śpiewała po włosku?

— Tak jest, sprobuję.

I zanim zdołała odetchnąć, mały, energiczny człowieczek już uderzył wstępnych kilka akordów, ale w połowie aryi przestaje nagle grać i z niezadowoleniem kiwa głową, wstrząsając długiemi, siwemi lokami.

— Eh bien! woła Moriński rozdrażniony.

— Już dosyć słyszałem, odpowiada z najzimniejszą krwią — to najzupełniej niemożliwy sposób śpiewania!

— Nie zniechęcaj się, pani, zwraca się Moriński do zawstydzonej Stelli; głos pani jest pyszny, pełny, miękki, jeden z najpiękniejszych głosów, jakie kiedykolwiek słyszałem.

— Nie przeczę temu, zawołał ochrypłym głosem staruszek, tylko głosowi pani braknie wprawy, akcentowania, uczucia i...

— Przede wszystkiem dobrego nauczyciela, wtrąca zniecierpliwiony Moriński.

— Nauczyciel nic tu nie pomoże, zagłusza go kapelmistrz; ale, dodał, obrzucając Stellę badawczem spojrzeniem, jakby oceniając całą jej osobę — „c'est une femme du monde et vous n'en ferez jamais une cantatrice.“ Przy tych słowach zerwał się z krzesła i z energią, cechującą wszystkie jego ruchy, zaczął gładzić pomięty trochę cylinder.

Biedna Stella ma łzy w oczach — Moriński ujmuje obiedwie jej ręce.

— Niech cię to czasem nie zraża, droga pani, szepce półgłosem; wierz mi, że zbyt wiele przemawia za tobą, abyś nie miała zbierać tryumfów na scenie, mówi, patrząc na ładną jej twarzyczkę z błyszczącemi oczyma.

— Spuść się pani lepiej na moje czterdziestoletnie doświadczenie, przerywa mu kapelmistrz; o powodzeniu mowy być nie może.

— Niech sobie gada, co chce, pociesza ją Moriński, wracając do rzeczy, głos pani interesuje mnie bardzo i wielką sprawiłoby mi przyjemność zająć się osobiście jego kształceniem.

Ale uszy starego Włocha dosłyszały tę propozycyą.

— Pas de bêtises, monsieur Moriński, mówi, wkładając cylinder na głowę i szukając czegoś pospiesznie w kieszeniach wytartego płaszcza. — Oto moja karta, dodaje zwracając się do baronowej, jeżeli córka pani ma się kształcić w śpiewie, to polecam zakład signore della Seggiola, Rue Lamartine Nr. 10; udziela on lekcyi śpiewu wszystkim mieszkańcom dzielnicy Saint Germain i Saint Honoré; zupełnie to dla córki pani odpowiednia szkoła. Co prawda, trochę drogi, ale odwołaj się pani na mnie, to może panią uwzględni. *Dio mio* — jestem straszliwie głodny. Allons, adieu, allons, Moriński.

Tak się odbyła pierwsza próba śpiewu baronówny Meineck na scenie lirycznej opery w Paryżu.

Baronowa posiada na szczęście jeszcze tyle rozsądku, że, zamiast Morińskiemu, powierza rękom signore della Seggiola przyszłość i karyerę swej córki.

ROZDZIAŁ XXI.

Zima na dobre rozpoczęła swe panowanie; ogrodnicy pozabierali ostatnie kwiaty ze skwerów i publicznych ogrodów — buksbaumowe otoczenia kląbów pokrył śnieg gruby. Wprawdzie śnieżno-białej barwy paryzkiemu śniegowi przypisać nie można; porozjeżdżany kołami karet i dorożek, służący za wycieraczkę licznym nogom przechodniów,

przybrał brunatny jakiś kolor i jakby zawstydzony utratą pierwotnej swej czystości chowa się jak najprędzej do ziemi.

Upłynęło już sześć tygodni od przybycia i zamieszkania Meinecków w stolicy.

Baronowa, chcąc trochę zwiększyć szczupłe dochody, zdecydowała się nareszcie pisywać felietony, gdyż dotąd gardziła wszelkiem zajęciem dziennikarskiem; oprócz tego zredagowała dwa artykuły, za które redaktor „Trybuny“ w Berlinie wypłacił jej 50 marek.

Ażeby zebrać, o ile możności, najobfitsze notatki o życiu i obyczajach stolicy, oddaje się studyowaniu Paryża z nadzwyczajną gorliwością. Z notesem w ręku zwiedziła „Morque,“ gdzie budowa ciała jakiegoś murzyna zwróciła całą jej uwagę; następnie „Valentino“ w towarzystwie starego stolarza, który, sporządzając rozbity kufer baronowej, zwrócił na siebie jej uwagę rozsądnem rozprawianiem o polityce. Nowy *cicerone* znalazł zupełne swych zalet uznanie i pani Meineck, utrzymując, że w Valentino towarzystwo stolarza jest mniej żenującem, niż jakiego z wyższej klasy mężczyzny, wynagrodziła pięciofrankówką dwie godziny, jej studyom poświęcone. W projekcie ma nową, nadzwyczaj według własnego pojęcia zajmującą wycieczkę. Tymczasem, chcąc bliżej poznać uliczne życie i rozmaite typy stolicy, jeździ, siedząc na galeryi trzęsących omnibusów trzy godziny dziennie — dwie przed południem i jednę wieczorem po najrozmaitszych ulicach Paryża.

A cóż porabia Stella? Cztery razy tygodniowo bierze lekcye śpiewu; dwa razy prywatnie, a drugie dwa w zakładzie signore della Seggiola, oprócz tego ćwiczy się w domu dwie godziny dziennie. Resztę czasu, będąc zupełnie samej sobie zostawioną, może poświęcić na dalsze kształcenie się, może towarzyszyć matce w jej omnibusowych wycieczkach, może sama zwiedzać muzea, załatwiać różne drobne sprawunki, albo czytywać w domu uczone dzieła i wpisywać swe nad niemi uwagi w piękną, w pargamin oprawną książkę, którą niedawno od matki na urodziny dostała.

Co za obfitość przyjemnych rozrywek i podniecających zajęć dla młodej, dwudziestoletniej dziewczyny! Trudno pojąć, że pomimo to czuje się osamotnioną i nieszczęśliwą, z każdym dniem staje się więcej niespokojną i nerwową i że bez wyraźnej przyczyny smutku usposobienie jej prawie z melancholią graniczy.

Matka, która tego chorobliwego stanu córki pojąć nie może, zarzuca jej, że zbyt mało zajmuje się poważniejszemi rzeczami, w końcu zaniepokojona radzi się doktora, który żelazem polecił leczyć pacyentkę.

Jak każdego dnia, tak i dzisiaj Stella jest sama w domu, gdyż baronowa natychmiast po śniadaniu wyjechała omnibusem studyować Paryż z perspektywy lotu ptaka. W samym początku tych wycieczek zaproponowała zaraz córce zabranie jej ze sobą, ale Stella odparła przeczącym ruchem głowy, że nie może znieść podobnej jazdy. Siedząc na wysokiej galeryi, dostaje zawrotu głowy, a w ciasnej klatce omnibusa robi jej się niedobrze.

— Naturalnie, omnibus nie jest stosownym ekwipażem dla takiej, jak ty, osoby, karetką z jedwabnemi poduszkami przejechać się po lasku byłoby ci lepiej, ale, niestety! podobnej dogodności zrobić ci nie mogę, przy tych słowach baronowa gniewnie trzasnęła drzwiami, zostawiając córkę z pełnemi łez oczyma.

Od pewnego czasu Stella cierpi na dotkliwy ból gardła, którego nabawiła się, biorąc lekcye śpiewu u rozmaitych nauczycieli, z których każdy inaczej się z jej głosem obchodził. Biedny ten zmęczony głosik był z kolei wysokim sopranem, mezzo sopranem i contraaltem, odnośnie do tych zmian najrozmaitsze przechodząc tortury. Od kilku dni ból gardła zwiększył się do tego stopnia, że musiała na jakiś czas zupełnie zaprzestać śpiewu, siedzi więc w małym saloniku z tomem historyi Gibbona w ręku, ale koleje państwa rzymskiego zdają się nie interesować jej wcale.

— Jeżeli nie będę mogła występować na scenie — jeżeli głos mój do niczego niezdolnym się okaże?... pyta się bezustannie, to cóż wtedy ze mnie będzie?

Była chwila w jej życiu, w której zaczynała wierzyć w świetlaną rzeczywistość.... ale dziś na samo wspomnienie tego rozczarowania policzki jej płoną, a usta gorzki przybierają wyraz, tak, dziś — dziś tylko szydzi z tych niedorzecznych, fantastycznych marzeń!

(Ciąg dalszy nastąpi).

WYSPA GOTLAND.

Obrazek z podróży

ułożył

hrabia Wawrzyniec Benzelstjerna Engeström.

(Ciąg dalszy.)

Przypatrzmy się murom, starożytnej warowni, które, jak powiedziałem, od morza do morza — to jest ciągną się ku wschodowi w linii niemal prostej, zakręcając się zwolna ku południowi i w tym kierunku na wysokie ściany kredowego *klintu* wstępują, opadając stamtąd w brzeg południowy. W ten sposób mury te tworzą rodzaj nieregularnego paralelogramu.

Stara ta warownia bardzo wiele ma podobieństwa z budowami rzymskiemi tego rodzaju. Są to mury proste, bardzo grube, prostokątne, z basztami i wieżami, ustawionemi w odstępach ściśle regularnych. Fossy okalają te mury tylko od strony północnej; zdaje się, że zaniechano ich w innej stronie dla twardości gruntu kamiennego, co bardzo prawdopodobne, gdyż w owych czasach, w których prochu i strzelb nie znano, mniej się zdawały potrzebne.

Baszty, regularnie poustawiane, nie są jednakowej konstrukcyi — idą naprzemian z gruntu murowane, wysokie, czworokątne wieżyce — to znowu baszty, tak zwane *wiszące*, albo *siodłowe*, ustawione na wierzchu murów i na nich silnie pobudowane.

Wieże gruntowe mają tępo zcięte narożniki na zewnątrz, tak, że ściśle biorąc, trzebaby je za rodzaj połowy sześcianu uważać. Na wewnątrz, od strony miasta, wieże, które wszystkie 70 stóp szwedzkich wysokości przechodzą, ściany nie mają wcale — są otwarte i zewnętrznemi piętrami i strzelnicami swojemi wydają się być raczej rodzajem tarcz gigantycznych, murowanych, które, jak widma, nad nami sterczą, w wyżynach miasta królując.

Takie wieże, od strony wewnętrznej otwarte, sposobem tarczowym budowane i równolegle od siebie poustawiane, znane nam są w historyi budownictwa u starych *Rzymian*, a nie podlega najmniejszej wątpliwości, że na wzór rzymski w Wysby je budowano.

Utwierdzają nas w tem mniemaniu zupełnie podobne szczątki forteczne w *Ober Wessel* nad Renem.

Baszty tak zwane *siodłowe*, na murach wsparte, 5 do 8 stóp po nad niemi wystające, są czworokątne i poza mury, na zewnątrz zwłaszcza, wyskakują, na kamiennych łukach spoczywając. — I te bastiony ścian wewnętrznych są pozbawione zupełnie, tak, że rodzajem tarcz, albo koszy otwartych się być wydają. Te, jako mniej silne mające podstawy, daleko więcej są uszkodzone i wiele takich właśnie brakuje.

Grube mury pomiędzy basztami pokryte są jakoby dachem głazów kamiennych, wystających rodzajem okapu, który je chroni. Pod temi okapami wmurowane są kamienne belki, na których spoczywały dębowe kloce, jako

chodniki, na wewnątrz ułatwiające komunikacyą pomiędzą basztami a wieżycami.

Rozpatrując się uważnie, widzimy, że mury te nie od razu powstały i w rozmaitych czasach były dobudowane, a zwłaszcza podwyższone. Początkowo nie miały baszt, ani wieżyc, które znacznie później dostawiono, wzmacniając mur pierwotny filarami i łukami wewnętrznemi. Cała budowa bez wyjątku jest prosta zupełnie, z grubo obrobionego kamienia wapiennego, jest to w całem znaczeniu budownictwo pierwotne, ale cały ogrom tego połamanego pierścienia, jak się dzisiaj jeszcze zachował, te wysoko sterczące jego wieżyce dziwnie przejmującem nas ogarniają uczuciem poszanowania i wspomnień zamglonych; a ileż to sag i legend w tych gruzach leży, o którychby wam obszerne kroniki zapisać można, poetyczną fantazyą przeszłości wywołując obrazy.

Stojąc pod jedną z tych strażnic warowni, która milcząca i głucha, jak blade widmo nad nami się unosi, pojedyńczą wydobywam legendę z tysiąca innych, w staroświecki obrazek układając.

Baszta, o której mówię, po dziś dzień zachowała nazwanie *„wieży dziewiczej,“* zamurowano w niej bowiem żywcem dziewczynę, która za mimowolną zdradę ojczyzny, sama się dobrowolnie na tę okropną karę skazała. Legenda odnosi się do wieku XIV, do krwawego dramatu oblężenia i zwycięztw króla *duńskiego*, *Woldemara*, który, jak wiemy, zburzył i złupił *Wysby* w roku 1361.

Otoż, wedle podania, kilka lat przed tą katastrofą, przybył z *Danii* do *Gotlandyi* i osiedlił się w *Wysby*, bogaty złotnik z cudnej urody córką, która, wszystkich oczy na siebie zwracając, zapalała serca i zawracała głowy tamtejszej młodzieży.

Złotnik *Nils* porówno z córką, jasnowłosą *Margettą*, byli nadzwyczaj dumni i nieprzystępni. Ojciec z charakteru wyniosły, gwałtowny i sarkastyczny, do śmieszności pychę swoję posuwał, sądząc się pierwszym w mieście — a lubo bogaty, niepohamowanie zazdrosny, skąpy i chciwy, zraził sobie wszystkich mieszkańców, którzy, stroniąc od niego, złośliwym *Kobolden duńskim* nazywali pyszałka. — Więcej jeszcze oburzyła w końcu wszystkich jasnowłosa *Margetta* zalotna i chytra, pociągając i zwodząc dla zabawki młodzieńców, których rozmiłowawszy, odpychała ze wzgardą, szyderstwem i obelgami, obrażając miłość własną młodego patrycyatu, który ją znienawidził. Wytworzyła sobie z wielbicieli nieprzyjaciół zawziętych.

Rzeczy doszły do tego stopnia, że dla ojca i córki życie stało się niemożebne. Stary *Nils*, nie mogąc się tu osiedlić, obrażony do żywego w sztańskiej swej dumie, a zawiedziony w nadziejach bogatego na wyspie obłowu, zmuszony był opuścić *Gotlandyą*, krwawą zemstę niegościnnemu miastu zaprzysięgając. Powrócił do *Kopenhagi*, a pozyskawszy względy u dworu, stał się tam niemal gościem codziennym i faworytem chciwego króla *Woldemara*. Znając charakter burzliwy i nienasyconą chciwość tyrana, umyślił użyć go za narzędzie zemsty poprzysiężonej. Opowiadał mu niestworzone cuda o bajecznych bogactwach miasta, o dumie zuchwalej, zbytku i nadużyciach Krezusów wyspy, o nienawiści ich do *Duńczyków*, i tym sposobem rozbudził nietylko już chciwość, ale nienawiść i miłość własną wojującego już wówczas z *Magnusem*, królem szwedzkim, tyrana.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KORESPONDENCYA „DOMU POLSKIEGO.“

Zpoza kordonu.

A zatem jesteśmy w pełni lata. Jasna zieleń przybrała ciemniejsze barwy — zboża płowieją — żniwa za pasem. O ile można wnioskować ze sprawozdań gazeciarskich, urodzaj będzie średni — pod względem słomy gorszy od zeszłorocznego, pod względem ziarna może równy w przecięciu, ale słyszy się ogólne narzekanie na trudność zbytu, na nizkie ceny. Nieurodzaj w Ameryce pociesza cokolwiek, projekt zakładania zapasowych śpichlerzów na wypadek wojny w miastach warownych dodaje otuchy, lecz to wszystko ma przyjść w przyszłości, a na dziś bieda — ciężka bieda w udziale.

Karnawał letni w Warszawie przeszedł bez zwykłego ożywienia; na wystawie inwentarza były pustki, teatr zajęła trupa rosyjska, tylko bal na korzyść „Towarzystwa opieki nad matkami i dziećmi“ udał się, przyniosłszy dwa tysiące kilka rubli czystego dochodu. Bale mogą liczyć zazwyczaj na powodzenie; do powyższego „Towarzystwa“ należy śmietanka towarzyska w Warszawie.

W prasie kłótnie osobiste dochodzą do punktu kulminacyjnego, bo do bójki i napadów ulicznych z kijami. „Kraj“ petersburski odezwał się w moralizatorskim tonie, przedstawiając niewłaściwość i fatalne następstwa podobnego zachowania się publicystów, nauczycieli i przewodników narodu — ale głos jego został zagłuszony obelgami i insynuacyami wszelkiego rodzaju. Panowie ci szczycą się odwagą cywilną, chwalą się, że rzeczy nazywają po imieniu, byłoby to nader pożądanem i chwalebnem, gdyby z komara nie robiono wielbłąda i gdyby prywata nie odgrywała głównej roli wszędzie i zawsze.

Żaden z wydawców nie wydaje czasopisma dla idei, wszyscy pragną zysków, a wszyscy zarzucają sobie wzajemnie spekulacyą i interesowność. Idea jest bardzo piękną rzeczą, praca dla idei jest wykwitem cywilizacyi, nieznanym w barbarzyństwie, ale kto nie posiada funduszów własnych, a pracę poświęca dziennikowi, musi mieć z niego korzyści. Wszyscy ci panowie dobrze o tem wiedzą — pocoż więc czynią zarzuty drugim z tego względu. Dziwnie to niekonsekwentne, a jednak tak pospolite.

„Rola“ jest pismem antisemickiem; na sto kilkadziesiąt wydawnictw żydowskich, albo opartych na żydowskich przedpłacicielach jeden procent antisemityzmu ma racyą bytu, dla czegoż więc od początku pojawienia się „Roli“ obrzucono ją kamieniami potępień i zarzutami spekulacyi na rasowych antagonizmach? Prawdą jest, że nienawiść dla żydów wytwarza przedpłacicieli dla „Roli“, ale czyż bez prenumeraty istniećby mogła? Zaprawdę, możnaby wymagać więcej dojrzałości, więcej sprawiedliwości od panów publicystów.

Rezultaty konkursów znane są już czytelnikom „Domu“ zapewne; nie przyniosły one nic znamienitego, ani głębszego, jestże to wina sędziów, czyli pisarzów? Czy panom sędziom przypadają do smaku rzeczy płytkie, czyli też nie mieli oni w czem przebrać?... rzecz to trudna do rozstrzygnięcia, trzebaby mieć wszystkie nadesłane utwory pod ręką i przeczytać wszystkie, a na to niktby zapewne się nie odważył.

Niefortunne wyniki z konkursów podawały w podejrzenie jury, iż bez czytania utworów wydaje opinią „na chybił, trafił“; więc redakcya „Echa muzycznego“ żądała od sędziów krótkiego sprawozdania z każdej sztuki i sprawozdania te wydrukowała. Z nowej tej próby wynikło to, że żaden z autorów nie dostał nagrody, a tylko melodramat p. n. „Walka“ pana Kośmińskiego został odznaczony, jako — po niektórych poprawkach i przeróbkach — możebny do przedstawienia na scenach ogródkowych. Sceny te z powodu taniości biletów, a zarazem z przyczyny opustoszenia Warszawy w czasach letnich upałów stały się teatrami ludowemi, ale okazał się wielki brak odpowiednich sztuk; konkurs „Echa“ miał więc na celu dostarczenie kilku utworów w tym rodzaju, ale nie powiódł się. „Walka“ ma być przedstawioną wkrótce.

Filantropia nie ustaje w działaniu: zakłada nową szwalnię dla ubogich dziewcząt, w której pomieszczone znajdą zaspokojenie potrzeb materyalnych z uwzględnieniem zdrowotnych warunków i zbyt dla pracy. Piękne to, szkoda

tylko, że nie wszystkie pracownice pomieścić tam będzie można.

Napływ młodych kobiet, szukających zarobku w Warszawie. zwrócił nietylko p. Zagórskiego uwagę. Pani M a r y a Z a l e s k a, redaktorka „Wieczorów rodzinnych“, napisała książkę w celu oddziaływania w tymże kierunku, co powieść „Na własnych skrzydłach.“ Szanowna autorka zwraca umysły młodych osób ku zajęciom, jakie mogłyby kobiety podjąć na wsiach, znaleźć tam dla siebie zarobek, a zarazem przyczynić się do podniesienia produkcyi ogólnej w kraju. Pomysł był bardzo dobry, wykonanie jego przecież mniej się udało, niż p. Zagórskiemu,

Nasamprzód zajęcia takie, jak pszczelarstwo, pachciarstwo, nie przynoszą nigdy tyle korzyści, aby osoba dobrze wychowana, przywykła do wielu wygód, mogła z nich się utrzymać. Ciocia Terenia, p a c h c i a r z, jest niezawodnie utopią. Mleczywo w formie masła i serów nie przynosi tyle zarobku, co mleko świeże, sprzedawane na kwarty, a ciocia Terenia nigdyby nie zniosła trudów, jakie pachciarz zwyczajny sobie zadaje, aby zarobić na nędzne utrzymanie życia. Codzień wstaje on o 3-ciej w nocy; bez względu na słotę, lub mróz jedzie do miasteczka i tam nakręcić się musi, aby zbył swój towar. Żyd pachciarz, bogacący się szybko, z pewnością dochodzi do celu innemi pobocznemi interesami, lichwą, handlarstwem i t. p.

Pachciarstwo, ogrodownictwo, pszczelarstwo są to wyborne zajęcia dla córek właścicieli majątku, które z zysków osiąganych przez własną pracę miałyby pieniądze na opędzenie własnych potrzeb — na ubranie, książki, nuty i t. p., oprócz tego, znalazłszy zajęcie, nie nudziłyby się na wsi, przestałyby wzdychać do zabaw i do bytu samodzielnego w mieście. Młodsza z pomiędzy sióstr Kasia jest dobrym przykładem; samouczek, pomaga w gospodarstwie matce, wyrabia się na dzielną, praktyczną gospodynią; starsza, urodzona z innej matki, wychowana w innych warunkach, po trochu nagina się także do wzoru, jaki młodsza siostra jej daje

Szkoda tylko, że powieść jest napisana bez artyzmu, ludzie w niej są to morały chodzące, bez żadnych odcieni w temperamentach, bez zwykłych słabostek, które podnoszą tylko blask cnoty, jak cienie światło.

Książka przypomina „Pana podstolego“ K r a s i c k i e g o, z której bardzo wiele nauki moralnej mógł ten wyciągnąć, kto zdołał przeczytać ją do końca, ale takich zapewne nie wielu się znalazło. Wieczornice, czyli wspólne roboty z wiejskiemi kobietami są n. p. wybornym pomysłem, coś podobnego zdarzyło mi się widzieć w praktyce i dobre przyniosło owoce. Pani dawała w czasie długich wieczorów zimowych dziewczynom włościańskim pierze do darcia, włosie z końskich ogonów i grzyw do rozprostowywania, albo len do przędzenia, a sama czytała im różne odpowiednie powieści, lub artykuliki z gazet. Lud nasz, nie mając czem zapełnić długich wieczorów zimowych, szczególniej tam, gdzie len się nie udaje, z chęcią przychodzi posłuchać czytania, a nawet woli coś robić, niż siedzieć z założonemi rękoma; mniej go to ambarasuje. Wieczornice takie wszędzie mogłyby znaleźć zastosowanie i dla obu stron byłyby korzystne, ale autorka nie przedstawiła nawet takiej wieczornicy czytelnikom, gdzie miałaby pole do odmalowania typów wieśniaczych, wspomina tylko o nich mimochodem, a wzmianka sama nie może uczynić na umysłach takiego wrażenia, jakie wywołałby obraz.

Słowem — pomysł pani Zaleskiej był bardzo dobry, ale zabrakło autorce talentu do wykonania go należycie.

Zadziwia to wszystkich, że zabor pruski wydaje tak mały procent utalentowanych pisarzów, gdy Galicya dostarcza Warszawie wciąż wyrobionych już w miejscowej prasie literatów. Poznańskie wcale się tem nie odznacza. Cóż z tego wynika? Autorowie z obcych stron zabierają się do malowania stosunków Wielkopolski i — naturalnie — używają do tego fałszywych barw. Jedynym pisarzem, znającym dobrze stosunki miejscowe, jest T e o d o r J e s k e - C h o i ń s k i, jako Poznańczyk, urodzony i wychowany tamże. Powieść jego p. n. „Nad Wartą“, ma z tego względu wartość. Autor maluje w niej stosunki małego miasteczka przed wojną francuzką, kiedy patryotyzm czyli szowinizm germański nie był jeszcze znany, a Niemcy szczycili się tylko z humanitarnych i cywilizacyjnych swych pojęć. Dwie odrębne narodowości zlewały się mimowoli i bezwiednie w jedną całość organiczną, dobrze im było razem, kochali się i szanowali wzajemnie. Czego wy chcecie, Polacy, mówił napół spolszczały Niemiec, macie „dobra poczta, dobra szosa, tam Vaterland, wo ist gut.“ A choć Polacy nie zgadzali się z ową opinią, po trochu przywykali do niej i wchodziła ona w ich krew. Tymczasem po wojnie francuzkiej zbudzony nagle szowinizm niemiecki, prześladowczy, bezwzględny, napływający z góry, zmienił postać rzeczy. Prześladowania wywołują odpór i nienawiść, obce pierwiastki, łączące się w nowy amalgamat narodowościowy, zasyczały, jakoby w retorcie chemika, i rozbiegły się w przeciwnych a wrogich sobie kierunkach.

A. M.

LISTY

Narcyzy Żmichowskiej do Bibianny Moraczewskiej.

8 kwietnia 1861

Z doniesień dziennikarskich musisz już wiedzieć, kochana Bianeczko, główne wypadki z dni ubiegłych — na uzupełnienie tylko posełam ci najpierw: Zbiór litografowany protokułów delegacyi — Podziękowania dla niej, na które właśnie zbierają podpisy — Kopie z drukowanej kurendy ks. Myślińskiego, administratora dyecezyi Płockiej — nakoniec Odpowiedź duchowieństwa na mowę Wielopolskiego. Wielopolski jest dzisiajszego położenia sfinxem beockim, kto go odgadnie, to będzie mógł głowę mu uciąć, a kto nie odgadnie, tego on pewnie zje. Są ludzie, którzy w i e r z ą w r o z u m, a zatem wierzą i w Wielopolskiego; powiadają, że ma nominacyą na namiestnika w kieszeni od fraka, a złote góry dla nas w kieszonce od kamizelki. Rozpowiadają sobie, że na konferencyi z Andrzejem Zamojskim miał mu powiedzieć, gdy o zapowiedzianej na niedzielę manifestacyi mówili: „Wiem, że jutro będą mię chcieli powiesić, ale za dziesięć dni to mię na ręku nosić zaczną.“ Zamojski też ręce składa przed opinią publiczną i prosi, by sąd swój wstrzymać jeszcze do czasu. Wielu bardzo poczciwych ludzi zachwiało się i kamienia do ręki wziąć nie śmieją, lecz dla mnie te słowa żadnem dźwięcznem złudzeniem nie grają. Wiem, że pan minister oświecenia jest tym samym człowiekiem, który z krzywdą mnóstwa rodzin wyprocesował nieprzynależną mu ordynacyą Myszkowskich. Wiem, że napisał: Lettre d'un Gentil homme polonais au prince de Metternich. Wiem, że zmarnował publiczności polskiej przekazaną bibliotekę Świdzińskiego. Wiem, że przez Towarzystwo rolnicze, gdy się podał na członka, odrzuconym został. Wiem prócz tego, że osobiście ma dumny, chciwy i mściwy charakter. Teraz widzę, że pierwszy jego okólnik, który księżom z ambony czytać polecił, jest sto razy gorszy od Muchanowskiego ukazu — wszakżeś go czytała w gazecie. Druga jego przemowa do żydów, najwyraźniej schlebia ich słabostkom nawet, by to silne poparcie na stronę rządową przeciągnąć. Odezwa do duchowieństwa — istny policzek Mikołajowski. Reskrypt nakoniec, znoszący i motywujący zniesienie Tow. rolniczego, jest kopułą i wiązaniem tej reakcyjnej budowy. Pan Wielopolski kilkunastu dni żąda na usprawiedliwienie swojej polityki, a mnie się zdaje, że

to na jej ugruntowanie jest potrzebne. — Za kilkanaście dni dzwoniąc tem wyrażeniem „trzeciego stanu“, jak dziś żydów już ze sobą połączył, tak będzie miał czas od nas ich oderwać, jak z początku kilkoma szczyptami złotego piasku zapruszył oczy ludziom w pierwszej chwili, gdy należało się nieugruntowanego jeszcze, świeżo przybyłego odtrącić temi samemi zarzutami, któremi jego dumę upokorzono, a zawziętość rozwinięto; jak, mówię, wtedy wydarł im tę sposobność z ręki, tak dzisiaj chce ich otumanić, żeby właściwą porę stanowczej jakiejś protestacyi sprzedali za byle łachman kłamliwej obietnicy. Nie wiem, jak się te rzeczy wyklarują, ale obecność ciężka, bo dwuznaczna. Kiedy rozpędzeni obywatele mogliby zebrać głosy całego kraju i do już wskazanych urzędownie mężów zaufania złożyć wymaganie ogólne, by Wielopolski usuniętym został, oni się gapią na manifestacyach i radzi czekają, czy im obiecane gołąbki nie wpadną do gąbki. Na deser zastawią im tytuły różnych reform po moskiewsku i moskalami dopełnianych, żydów, których już Andrzej Zamojski jednym okólnikiem zniechęcił, zupełnie od obywatelstwa odciętych, chłopów podburzonych i między tem wszystkiem szlachtę głupią, osamotnioną, z ludem warszawskim i garstką poświęconych.... Ale w Bogu nadzieja, tak źle nie będzie. Ignacy Baranowski Dr. słyszał, jak Towiańczycy między sobą raz mówili: ze kiedy przyjdzie oznaczona godzina, to sam djabeł będzie Polsce pomagał. — Otoż nie gniewaj się, Bianeczko, ale ci powiem, że Towiańczycy mieli słuszność. Godzina widać przyszła i sam djabeł pomaga. Zamknięcie Tow. roln. nie tak wielką jest stratą; komitet wszędzie bruździł, a sam nic nie robił. Zamojski stawał się już ambarasem, lepiej, że od rzędu, a nie od swoich przyszła mu dymisya. Duchowieństwo po większej części niechętne, lub obojętne się okazywało, Wielopolski je rozbudzi. Wczoraj sami nawet kapucyni urządzili manifestacyą. Ach! te manifestacye! już w śmieszność zaczynały przechodzić, kiedy je książę podniósł w godności, wczoraj kazał wojsku wystąpić, sam przed tłum wyjechał, krzyczał, żeby się rozejść, a z tłumu raz po raz warunki podawano mu, żeby się pierwej wojsko rozeszło; groził strzelaniem, wołano, że nie ustąpią, póki wojsko nie ustąpi; trwało to z półtorej godziny, szeregi tak blizko siebie stały, że tłum zaczął propagować żołnierzy, kiedy pułkownik jakiś krzyknął: „Małczy“, jeden z rzemieślników ujął się za wojskiem. „Czemu pan im milczeć każesz, czemu koniecznie chcesz z nich zwierzęta porobić, wszakże to ludzie, to bliźni nasi?“ Wreszcie wojsko się cofnęło i tłum rozszedł się powoli. Dzisiaj nic jeszcze nowego nie słyszałam. Idziemy na pogrzeb jednego z sybiraków, pewnie będzie liczny. Żegnaj, moja Bianeczko. Żmichowska.

Na przyszły raz muszę ci też ogromnie poskarżyć się na te manifestacye nieszczęśliwe, dziś niech cię z dobrem pożegnam wrażeniem.

KRYTYCZNY POGLĄD
na sztuczne pożywki dla niemowląt i dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszutski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 20.)

Po pojawieniu się mąki dla dzieci Nestlé'go w handlu, wydał o niej prof. dr. Lebert z Wrocławia sąd bardzo pochlebny, który do jej rozpowszechnienia się i pokupu w Anglii i Francyi znacznie się przyczynił. Lebert otoczył części składowe wyrobu tego — natenczas w wielkiej trzymane tajemnicy — niezasłużoną aureolą. Miał on zawierać przeważnie dekstrynę i aromatyczne mleko szwajcarskie, od krów zdrowych i wolnych od gruźlicy pochodzące; dalej nietylko niemowlętom pierś matki całkowicie zastąpić, ale nawet i dorosłym, mlecznej kuracyi potrzebującym osobom służyć wyśmienicie. Mleko krów, zdaniem Leberta, pożywniejszem jest dla niemowląt od pokarmu matki.

Na sąd ten, przed dwudziestu i kilku laty wydany, oburzył się prof. dr. Jacobi z Nowego Jorku*) i w pracy swej, w 1887 roku wydanej, zbił wywody Leberta, zaprzeczył, jakoby wyrób Nestlé'go zawierać miał tak znaczną ilość dekstryny i wykazał obfitą ilość mączki pszennej, niestrawionej, w kiszkach karmionych w ten sposób niemowląt napotykanej.

Prof. dr Martin w Berlinie polecił także mąkę Nestlé'go, ale użycie jej wyraźnie ograniczył tylko na te wypadki i dla dzieci tych miast wielkich, w których nabycie mleka dobrego jest utrudnionem, lub niemożebnem.

Prof. dr. Breisky w Bernie wydał w r. 1871 o zastępcy tym mleka (Milchsurrogat) sąd dość pochlebny i polecił mąkę Nestlé'go rodzicom głównie do użycia podczas dalszych podróży, z niemowlętami i dziećmi odbywanych.

Mniej więcej pochlebnie wyrażali się także o zajmującym nas tu wyrobie: Prof. dr. Credé w Lipsku, prof. Schöller w Berlinie, prof. Tracy w Malbourne i dość wielu innych, przecież po ścisłem zbadaniu zdań wypowiedzianych żaden, oprócz Leberta, nie głosił przekonania, iżby mąka Nestlé'go niemowlęciu pokarm matki zupełnie zastąpić była w stanie, a nawet od tegoż być pożywniejszą.

Na ostatnich zjazdach lekarzy i przyrodników zgodziło się wielu lekarzy na to, iż tak mąka dla dzieci Nestlé'go, jak i Kufekego, niemowlętom wyłącznie tylko za pożywienie podawana, jest wprawdzie w stanie je żywić, ale że je tylko tuczy (t. n. Aufpaeppeln), że ciału ich nie daje odpowiedniej jędrności i że dzieciny te są niewytrzymałe, bo pierwsza lepsza choroba ze świata je zabiera.

Na ostatnie wywody i my jak najzupełniej się godzimy. Mąka Nestlé'go pokarmu matki stale zastąpić nie jest w stanie, a znaczna ilość zawartej w niej mączki pszennej zabrania jej słusznie i nie dozwala wstępu do ust niemowlęcia w pierwszych kilku miesiącach życia jego.

Twórcy wyrobów do mąki Nestlé'go podobnych nie szli już torem przez tego chemika wytkniętym, nie taili się z częściami składowemi, (analizą) swych preparatów, lecz przeciwnie z otwartą do walki wystąpili przyłbicą.

Faust i Schuster w Göttindze podają analizę swej mąki dla dzieci dokładnie i zwracają słusznie na to uwagę, iż w wyrobie ich mleko, z południowych Niemiec pochodzące, co do części składowych chemicznych, równa się szwajcarskiemu i że to ostatnie, na wiosnę i podczas lata odrębnym zapachem, (Aroma) zioła przypominającym, wyposażone, traci tenże zapach zupełnie podczas zgęszczania i wysuszania niezbędnego przy fabrykacyi mąki Nestlé'go i innych.

W roku 1880 przedstawił chemik R. Kufeke, w Hamburgu zamieszkały, wyrób swój t. n. mąką dla dzieci (R. Kufeke's Kindermehl) po raz pierwszy po długich i ciężkich próbach, stosownie do wskazówek Liebiga, zestawiony.

Mąka ta jest barwy blado-żółtej i ma smak słodkawy, słód przypominający. Gorącą wodą nalana, daje polewkę rzadką, cienką, do której tłustego mleka ma się dolewać.

Mąka Kufekego nie zawiera zdaniem jej twórcy mączki pszennej wcale, tylko odpowiednią ilość cukru, i stanowi najlepszą zastępczynią pokarmu matki. Tak głoszą to broszury, w nieprzeliczonej liczbie exemplarzy w świat

*) Prof. Dr. Jacobi. New-York. Die Pflege und Ernährung des Kindes. Op. cit. Str. 399.

wysełane. I tak rozprawka, zatytułowana: „Der Säugling, seine Ernährung in gesunden und kranken Tagen, Führer für jede Mutter, welche ihr Kind gesundheitsgemäss ernähren und pflegen will, von einem Kinderarzt“ rozeszła się aż do końca zeszłego roku w 80,000 exemplarzach.

Drugie poprawne wydanie wysłano z Hamburga w r. 1888, jak to opiewa przedmowa, w 1,000,000 exemplarzach!

Po kilku pobieżnych poradach dla matek, jak to dzieci ważyć, kąpać i ubierać trzeba, i po otwartem wyznaniu, iż naturalne pożywienie dla niemowlęcia stanowi jedynie pokarm matki, dalej, że każda matka powinna sama karmić swe dziecię, podnosi autor trudności, przy podawaniu mleka krowiego, nawet i najlepszego, wynikające, wytyka konieczność wyszukania zastępcy obu tych rodzajów mleka — i znajduje go w mące pszennej — a następnie w mące Kufeke'go.

Pożywienie zastępcze dla niemowlęcia czyli t. n. sztuczne odpowiadać winno — co do jakości i ilości swych części składowych — zupełnie pokarmowi matki.

Stosunek części pożywnych czyli t. n. krew tworzących (azotowych) do ciepło tworzących (bezazotowych) jest w mące pszennej jak 1 : 4—5, a w pokarmie matki jak 1 : 4.

Białkany mąki, krew tworzące, są zdaniem wielu chemików w stanie zastąpić całkowicie i zupełnie sernik i białkany mleka matki. Białkany, w zbożu w ogólności zawarte, strawniejszemi są od białkanów w owocach strączkowatych suchych (Leguminosen). Tłuszcz zawarty jest w znacznie mniejszej ilości w mące pszennej i strawniejszym od tłuszczu w mleku matki. Ten niedobór tłuszczu wyrównać mają inne wodowęglany, a głównie mączka, która tylko za pomocą śliny i soku trzuskowego przeistoczoną i ciału przyswojoną być może.

Wątły ustrój (organizm) niemowlęcia nie jest w stanie podołać tej pracy. Pożywka roślinna zatem, mająca zastąpić niemowlęciu pokarm matki, nie może zawierać w sobie wcale mączki, tylko równoważącą ilość cukru, który za pomocą diastazy, z słodu wytwarzanej, (po przemianie mączki) powstawać powinien.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wydawnictwa wielkopolskie.

(Ciąg dalszy.)

Podróż do Londynu i Paryża.

(Skreślił Stanisław Karwowski, dr. fil. Poznań. Nakład z funduszu Kuratoryi zapisu ś. p. Norberta Bredkrajcza. Czcionkami drukarni Kuryera pozn. 1888).

Pożyteczna to książeczka o 95 stronnicach, którą w ogóle każdemu, a w szczególności podróżującym polecić możemy.

Podróż przez Berlin, Magdeburg, Kassel, Kolonią, Belgią z Brukselą i Antverpią opisana jest w krótkości, pobieżnie, autor zatrzymywał się wszędzie krótko i zwiedzał tylko główne rzeczy i osobliwości. W Londynie zatrzymuje się już dłużej, przedstawia ogólny obraz miasta, wymienia ważniejsze kościoły, gmachy, pomniki, parki i co najgodniejsze widzenia, zwracając przede wszystkiem uwagę na historyczne pamiątki. Londyn wydaje się jednak autorowi smutnem, ponurem miastem w porównaniu zwłaszcza z Paryżem, dla którego nie ma dosyć słów podziwu. Staranniej też i szczegółowiej, niż wszystko dotąd, zwiedza to miasto i obszerniej, a nawet stosunkowo dość dokładnie opisuje jego osobliwości. Nie znajdujemy wprawdzie w całej książce opowiadań i opisów w rodzaju Kremera, z punktu widzenia sztuki, na którą nawet p. Karwowski, jako zbyt prędko, dorywczo wszystko oglądający, nie mógł bacznej zwrócić uwagi, ale liczne, bo przy każdym starszym zabytku, gmachu, pomniku, czy obrazie, przy każdej jednem słowem sposobności podawane historyczne objaśnienia, albo i krótsze informacye czynią ją interesującą i ogółowi przystępną.

Okolice Paryża, jak: St. Denis, Versal, St. Germain en Laye, Fontainebleau opisuje autor także. W powrocie zwiedza Akwizgran, brzegi Renu, Monguncyą, Frankfurt nad Menem, Bamberg, Eger, Karłowary, Pragę i Kłock. Całość czyta się przyjemnie, jakby się słuchało żywego słowa podróżnika, który raz po raz osobistym sądem i uwagą, a nawet przygodą przeplata opowiadanie. Zwiedzającemu odpowiednie miejscowości, a zwłaszcza Paryż, może książeczka p. Karwowskiego zastąpić doskonale przewodnika. Wszystko zebrane w niej krótko, treściwie z większem baczeniem na pożytek, aniżeli przyjemność. Miłość ojczyzny, kraju rodzinnego i wszystkiego, co polskie, charakteryzuje ją także, występuje ona tak przy porównaniu swoich rzeczy z cudzemi, jak przy wspomnieniach i spostrzeżeniach, które czującemu głęboko Polakowi nasuwają się łatwo w podróży, bo wszędzie spotyka pamiątki i ślady wielkiej przeszłości swojego narodu. Niezmiernie zastanawia jeszcze w książce p. Karwowskiego umiejętność bardzo taniego podróżowania; cała ta ogromna podróż, (mówiąc nawiasem, nie powiada autor nigdzie, ile jej czasu poświęcił), w której, jak wyznaje, wiele widział i wiele się nauczył, kosztowała go tylko 310 marek!! Jeździł wprawdzie prawie ciągle klasą trzecią, a statkiem na morzu drugą, przez Niemcy i Austryą miał bilet obwodowy, (Rundreisebillet) tylko do Belgii, Anglii i Francyi kupował bilety osobno, po miastach chodził najwięcej pieszo, lub jeździł tramwajami, a rzadko dorożką, żywił się skromnie, obiady jadał zwykle po $1\frac{1}{2}$ franka i były one głównem jego dziennem pożywieniem, bo prócz nich pił chyba jeszcze wino czerwone i kawę, cygar palił mało, w ogóle tak był oszczędnym i ograniczał się we wielkich wydatkach, że często nie można wstrzymać uśmiechu, czytając dość naiwne w tym względzie zwierzenia się autora; jakbądź, przecież głodnym nie był nigdy, bywał w Paryżu w teatrach, robił wycieczki, nowych znajomych, gdy wypadało, częstował cygarem, lub piwem. Podróż, odbywana w ten sposób, musi być trochę męcząca, ale kto ma zdrowie po temu, a chodzi mu o czas i pieniądze, może z przykładu p. Karwowskiego skorzystać; szczęśliwsi zaś, niepotrzebujący się ograniczać ani w czasie, ani w wydatkach, mogą w każdym razie uczyć się od autora oszczędności i jeśli nie dosłownie go naśladować, to przynajmniej słuszność przyznać zasadzie, że podróżować, obce poznawać kraje winno się dla jakiegoś pożytku i przyjemności raczej duchowych, aniżeli czysto realnych. (C. d. n.)

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.